

SOMME SKETCHER



SINNERS
ANONYMOUS #1

SINNERS
anonymous



Tytuł oryginału
Sinners Anonymous
Copyright © 2021 by Somme Sketcher
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne
Oświęcim 2023
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Agnieszka Sajdyk

Korekta:

Karina Przybylik

Edyta Giersz

Maria Klimek

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Druk i oprawa:

Abedik S.A.

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-909-8

SOMME SKETCHER

**SINNERS
ANONYMOUS**
SINNERS ANONYMOUS #1

**TŁUMACZENIE
EDYTA MISIEWICZ-HULEWSKA**

OŚWIĘCIM 2023

Od Somme

Drogi Czytelniku,

Dziękuję za wybranie *Sinners Anonymous!* Mam nadzieję, że lektura powieści sprawi Ci tak wielką radość, jaką dało mi jej pisanie.

Zanim dasz się ponieść tej opowieści, powinieneś wiedzieć, że to *dark romance*. Poruszam kilka mrocznych kwestii, takich jak samobójstwo czy napaść seksualna. Czytasz na własne ryzyko.

Pozdrowienia

Somme X

DZIEWIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Angelo

Kobiety z klanu Visconti uwielbiają pokazywać się na pogrzebach. Nie ma znaczenia, czy zmarłą osobą jest ich matka czy ciotka, z którą są spokrewnione w drugim pokoleniu, i tak zawsze biorą udział w cholernych zawodach na najefektowniejsze opłakiwanie nieboszczyka.

Kwilenie, łkanie, pociąganie nosem. Dźwięki tłumione przez pożyczoną, materiałową chusteczkę lub wymiętoloną jednorazówkę. Ledwo mogę je znieść. Ten wymuszony płacz sprawia, że mam ochotę zakopać się w ziemi razem ze zmarłym. Piski, zawodzenia i szloch.

Odwracam wzrok od biskupa Francisca i przenikam intensywnym spojrzeniem ciotkę Esme.

Pieprzone bulgotanie.

– *Gesù Cristo*¹ – mamrocze siedzący w ławce za mną kuzyn Tor. – Gdy tydzień temu podrzynałem gardło jednemu łajdakowi, wydawał przy tym dokładnie taki sam odgłos.

Z mojego rzędu ławek dochodzi szmer. Zerkam w lewo na swojego brata Rafe'a. Widzę jak zagryza dolną wargę, próbując pohamować śmiech. Chwyta moje spojrzenie i unosi brew w taki sposób, jakby chciał zapytać, w czym problem, bo przecież komentarz Tora był zabawny. Siedzący obok niego Gabe, nasz starszy brat, zaciska szczękę i wpatruje się prosto przed siebie.

Biskup Francis bardzo przynudza, ale powoli zmierza do końca liturgii. Gdy wydawane przez ciotkę Esme dźwięki przybiera-

¹ *Gesù Cristo* (z wł.) – Jezus Chrystus (przyp. tłum.).

ją na sile, druga kuzynka, która przybyła specjalnie na tę okazję z Sycylii, decyduje, że nie da się prześcignąć. Z piskiem przeciska się przez ławki, zmierzając nawą do ołtarza. Klęka przed trumnami, a potem wydaje z siebie zawodzenie, które brzmi niczym powietrze uchodzące z balonu.

Nawet nie pamiętam, jak się nazywa krewna, która zdecydowała się objąć prowadzenie w tej nieformalnej rozgrywce.

Docierają do mnie wymamrotane łamanym włoskim przeprosiny i gorączkowe spojrzenia rzucone w moim kierunku. Kuzyn depcze jej po piętach, by po chwili zaciągnąć ją z powrotem do ławki, unosząc brzeg jej koronkowej woalki, by ją zbesztać, a jednocześnie pocieszyć.

Przez ten incydent biskup traci wątek, jąka się i przerzuca kartki. Wśród żałobników daje się wyczuć zmianę nastroju.

Rzymskokatolickie pogrzeby są piekielnie długie. A jeszcze rozciągają się w czasie, gdy do pochowania są dwie osoby, z których jedna była diakonem. Z każdą chwilą drewniane ławki stają się coraz twardsze, a myśli żałobników wędrują do hotelu Grand Visconti w Devil's Cove, gdzie odbędzie się stypa.

Nikt nie urządza takich imprez jak niedawno zmarli Visconti, a cóż dopiero ta dwójka.

Biskup zerka w kierunku pierwszego rzędu ławek i napotyka moje spojrzenie. Delikatnie kiwam głową, dając mu przyzwolenie na zakończenie nabożeństwa. Nikt nie pragnie szybciej ode mnie opuścić tych murów. Biskup odchrząkuje i ponownie skupia na sobie uwagę zebranych.

– Moi drodzy, rodzina wyraziła życzenie, abyście towarzyszyli im w ostatnim pożegnaniu, które odbędzie się na dziedzińcu.

Ładują na mnie zażławione i pełne współczucia spojrzenia. Podnosimy się z braćmi z naszych miejsc. Ostatni raz spoglądam przeciągle w kierunku trumien. Przełykam kulę w gardle, kulę ramiona i ruszam na tyły kościoła.

Krocę wśród morza westchnień, ze wzrokiem wlepionym w rozciągające się przede mną drzwi z kutego żelaza.

Prawie na miejscu. Za chwilę będzie po wszystkim.

Komórka wibruje mi w kieszeni marynarki. Mam nadzieję, że dzwoni mój asystent z informacją, że samolot jest gotowy do powrotnej podróży do Londynu.

Ministrant otwiera ciężkie drzwi. Wychodzę na schody i zamykam oczy. Czuję, jak lodowaty wiatr chłodzi moje policzki, a mróz szczypie mnie w nos. Pogoda na klifie od zawsze była bardziej ekstremalna niż w położonym poniżej miasteczku. Wiatr niezmiennie wiał tu mocniej, a deszcz zacinał ostrzej. Nasza mama, która była wieczną optymistką, zawsze przypominała nam, że w okresie zimowym jest chłodniej, ale rekompensuje to większe ciepło podczas letnich miesięcy.

W życiu liczy się równowaga, Angelo. Dobro zawsze zwycięża zło.

Otwieram oczy i dostrzegam stojących obok mnie Rafe'a i Gabe'a. Obaj podążają za moim wzrokiem na zwisające nisko nad głowami chmury, zwiastujące burzę.

– Co za piękny dzień na pochowanie rodziców – syczy Rafe, a Gabe milczy.

Ruszamy żwirową ścieżką między nagrobkami, aż zatrzymujemy się kilka metrów od krawędzi klifu. W rozmiętej ziemi wykopano dwie prostokątne dziury.

Zaciskam dłonie w pięści.

Zawsze razem. Złączeni na wieczność. Mieszcząca się w tych słowach opowieść o ich miłości zostanie wryta na płycie nagrobnej. Poranni biegacze i zbłąkani turyści, którzy zatrzymają się, by odczytać epitafium, uwierzą, że jest dowodem na to, że miłość istnieje.

Tymczasem grzeszna prawda spoczywa zaledwie sześć stóp pod ziemią.

Nieważne, jaka romantyczna sentencja zostanie umieszczona na marmurowej płycie nagrobnej, prawdziwa miłość i tak nie

istnieje. To zwykła nadzieja obleczona w inną formę. Idea, której uczepiają się ubodzy i bezsilni, gdy nie pozostaje im już nic innego.

Mój wzrok wędruje po fali garniturów i koronki, przesącza-
jącej się alejkami cmentarza w naszym kierunku. Ludzie mafii
wiedzą, że miłość nie istnieje. Wujkowie i kuzyni chwytają swo-
je żony i dziewczyny mocno za nadgarstki, zamiast trzymać je
za ręce. Oferują im surowe pocieszenie w nadziei, że się uciszą,
a równocześnie zerkają na zegarki. Kalkulują, kiedy będą mogli
wyśliznąć się do swoich kochanek, zrelaksować się i zapomnieć
o obowiązkach wobec Cosa Nostry.

Mężczyźni z klanu Visconti nigdy się nie zakochują, ponieważ
musieliby zdać się na los, a wszystko w tej rodzinie jest chłodne
i wykalkulowane.

Trzęsąca się dłoń zaciska się na moim ramieniu.

– Alonso byłby zachwycony miejscem spoczynku – odzywa
się pełnym emocji głosem wujek Alfredo. – Teraz ma okazję
spoglądać w górę na swój kościół, a zarazem patrzeć na miasto.
Wiesz, że obie te rzeczy wybudował od podstaw?

Wpatruję się w stertę mokrej ziemi, która obciąży grób mojej
matki i kiwam mu oschle głową. Wuj klepie mnie po plecach,
a natępnie cofa się o krok. Muszę mu przyznać, że umie złapać
aluzję.

Mamę opuszczają do grobu jako pierwszą. Czuję, że tonę ra-
zem z nią. Jest jedyną kobietą, przed którą kiedykolwiek padnę
na kolana. Moje zaciśnięte w pięści dłonie znikają w błocie. Ko-
lejna ręka dotyka mojego ramienia i po błysku złotego pierście-
nia rozpoznaję Rafe'a.

– Najdroższy Ojczy, ponieważ zdecydowałeś się powołać do
siebie naszą siostrę Marię Visconti, powierzamy jej ciało ziemi,
gdzie spocznie na wieki. – Biskup Francis ożywia się, lecz jego
słowa szybko unosi ze sobą wiatr.

Krew wrze mi w żyłach, a w przetyku znowu pojawia się pałaca gorycz, która smakuje tajemnicą i grzechem. Nieważne, jak dużo whisky wypiję w drodze do domu lub później, i tak wiem, że nigdy nie zdołam się jej pozbyć.

– Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz... – kontynuuje biskup.

Snujące się włókna dymu z płonącego kadziła zlewają się z poranną mgłą. Potem nadchodzi pora na róże. Krwistoczerwone i pełne kolców lądują z głuchym łoskotem na mahoniowym wieku trumny. Rafe przykuca koło mnie, przyciska pięść do ust i dmucha. Jedynym ruchem nadgarstka rzuca parę kostek na wieko. Toczą się po krzywiźnie i wpadają w przestrzeń pomiędzy trumną a ziemią.

– Dla mojej Damy Szczęścia – szepcze, przeczesując dłonią włosy. – Powodzenia po drugiej stronie, mamo.

Gabe również opada na kolana. Nie rzuca trzymanej w dłoni róży. Pochyla się, przyciska usta do drewna i mamrocze coś długo oraz szczerze.

Od lat nie widziałem, aby tyle mówił.

Gdy żałobnicy kończą pożegnanie zmarłej, ich oczy zwracają się wyczekująco w moim kierunku.

Powoli wygrzebuję z kieszeni szeleszczące opakowanie i umieszczam je ostrożnie na trumnie, uważając, aby się nie zniszczyło.

Za moimi plecami rozlega się cichutki śmiech.

– Ciasteczko szczęścia – odzywa się słabym głosem Rafe, a smutny uśmiech rozciąga jego usta. – Dlaczego na to nie wpadłem?

Mama wierzyła w los równie gorąco jak w Boga. Lecz podczas gdy nie miało dla niej znaczenia, że nigdy nie ujrzała ani nie usłyszała boskiej istoty, to nieustannie poszukiwała dowodu na istnienie przeznaczenia. Szukała go dosłownie wszędzie, we wróżbie z kart tarota za pięć dolarów na jarmarku, a także

w małym breloczku z magiczną kulą, który był przyczepiony do kluczy od domu.

I te cholerne ciasteczka szczęścia. Żyła według nich. Co wieczór po kolacji otwierała jedno i delikatnie wyciągała mały papierek, jakby był cennym artefaktem. Zawsze odnajdywała w nim znaczenie, nieważne jak mglistą przepowiednię zawierało. Po czym pracowała nad ulepszeniem i ukształtowaniem wokół niej swojego życia.

To właśnie ciasteczka szczęścia przywiodły ją z Nowego Jorku do Devil's Dip w stanie Waszyngton.

Poszukaj nadziei tam, gdzie powietrze jest słone, a klify strome.

Uwielbiała to cholerne miasteczko, ponieważ uważała, że sprowadziło ją do niego przeznaczenie. Zastanawiam się, czy spędzając czas w wagonie wróżki, bądź potrząsając swoją magiczną kulą, kiedykolwiek przeczuwała, że to miasto sprowadzi na nią również śmierć.

Zaczęli opuszczać trumnę mojego ojca. Na wieku udrapowano purpurowy welon i złożono zielonozłote szaty. Znowu rozlegają się szlochy. Tym razem są głośniejsze niż przy mamie. Wstaję z klęczek i odwracam się w kierunku morza. Czuję każdą parę oczu członków klanu Visconti, wypalającą mi dziurę w plecach.

Wiem, co myślą. Śmierć mojego ojca zapoczątkuje nową erę dla Cosa Nostry, a zacnie się ona ode mnie.

Jestem nowym szefem mafii w Devil's Dip.

Wpatruję się w unoszące się na falach łódki rybackie i frachtowce. Nagle wyczuwam na sobie również inne spojrzenia. Mój wzrok wędruje przez cmentarz, aż do przeciwnej strony małej publicznej drogi, gdzie pod wiatą autobusową ścieśnia się tłum.

Zaciskam szczękę.

Pieprzeni miejscowi. Niektórzy siedzą na ławce, inni opierają się ze skrzyżowanymi ramionami o budkę telefoniczną. Wszyscy obserwują, jak moi rodzice są opuszczani do grobu i sądząc po

ich spojrzeniach oraz kolorowych ubraniach, żadne z nich nie zjawiało się tutaj w celu okazania szacunku.

Krzyżuję spojrzenie ze starszym mężczyzną. Ma żylastą i zniszczoną przez pogodę twarz, przypominającą oblicza pracowników portu, którzy spędzili życie, walcząc z żywiołami. Nosi ceglasty płaszcz i żółty szalik, a usta rozciąga w szyderczym uśmiešku.

Mój ojciec twierdził, że różnię się temperamentem od moich braci. Ich gniew pali się powoli, niczym płomień świecy i łatwo go ugasić. Natomiast mój jest niczym fajerwerki. Wystarczy podpalić lont i wybucham w ciągu kilku sekund, nie zastanawiając się nad nieodwracalnymi szkodami, jakie mogę poczynić. *Jesteś bezwzględny, synu* – zwykł mawiać.

Wspaniała cecha dla szefa mafii.

Nie.

– Angelo, odłóż broń – syczy mi do ucha wujek Alberto, nie spodziewanie pojawiając się u mojego boku.

Nawet nie pamiętam, kiedy ją wyciągnąłem, nie wspominając o mierzeniu z niej do znajdującego się po przeciwnej stronie ulicy zadowolonego z siebie dupka. Tłum rozprasza się niczym roztrzęsione stado gołębi, rzucając w panice słowa, które gubią się na wietrze w dźwięku rozbijających się o brzeg fal.

Zerkam za siebie. Biskup Francis milknie, a kobiety z rodu Visconti przestają szlochać. Teraz wszyscy wpatrują się we mnie ze współczuciem, złością i zdezorientowaniem. Wszyscy z wyjątkiem Rafe’a i Gabe’a, którzy sięgają po swoje pistolety. Rafe chwytą mój wzrok i delikatnie potrząsa głową.

To niedobry pomysł, bracie.

Mimo że stoję w pobliżu zmarłych rodziców z cholerną bronią w dłoni, wybucham śmiechem.

Gdyby Angelo skoczył z klifu, ty też byś to zrobił?

Mama pytała o to moich braci za każdym razem, gdy w dzieciństwie wciągałem ich w głupie zabawy. Spalenie starej stodo-

ły przy drodze, zepsucie hamulców w naszych rowerach, aby przekonać się, który z nas najszybciej dotrze z domu na szczycie wzgórza nad jezioro leżące u jego stóp.

Ich odpowiedzi nie ulegały zmianie. *Zawsze mówili: tak.*

– Przyszli tutaj, aby upewnić się, że on naprawdę nie żyje – warknąłem.

– Nie. Przyszli zobaczyć mężczyznę, który go zastąpi. – Wujek Alberto staje przede mną, łapie mnie za szczękę i blokuje mi widok na uciekających do samochodów miejscowych. W jego oczach pojawia się mieszanka dumy i cierpienia. – Nie mogę się doczekać, aby zobaczyć, co osiągniesz, Bezwzględny. Ojciec na pewno będzie z ciebie dumny.

Pręzę mięśnie żuchwy pod jego uchwycem i w końcu mnie puszcza. Ścisza mnie mocno za ramię i prowadzi z powrotem nad grób, a biskup Francis uznaje to za znak, by kontynuować nabożeństwo.

W grobie łąduje więcej kwiatów. Wujek Alfredo kładzie na wieku butelkę limitowanej edycji whisky Smugglers Club, a stojący obok mnie wujek Alberto zdejmuje z nadgarstka Rolex a i rzuca go na trumnę.

– Lata temu wygrałem go od tego starego łajdaka. Twój starszek nigdy nie był dobry w pokera. – Wyciąga szyję, aby spojrzeć na Rafe’a. – Nie wiem, po kim odziedziczyłeś talent, dzieciaku.

Nadchodzi moja kolej. Nie klękam, tak jak przy trumnie mamy. Zamiast tego, pochylam się nad nią, trzymając w dłoni jego czarny różaniec. Paciorki dwukrotnie owinąłem wokół nadgarstka, a krzyż powiewa na wietrze niczym wahadło.

Nigdy się z nim nie rozstawał.

Aż w końcu go z niego zdjąłem.

Zaciskam krzyżyk w dłoni i wsuwam różaniec z powrotem do kieszeni spodni. Gdy unoszę wzrok, napotykam spojrzenie obserwującego mnie kuzyna Dantego.

Ostatnie pożegnanie dobiega końca. Ziemia przysypuje mamę z ciężkim łoskotem. Każde uderzenie brzmi bardziej ostatecznie niż poprzednie. Gdy odwracam się w stronę morza, spadają pierwsze krople deszczu.

Wyciągam różaniec z kieszeni i przykładam go do ust.

– Wybacz mi, Ojcie – mamroczę do zimnego metalu, gdy samotna kropla deszczu ląduje na moim policzku. – To, że zgrzeszyłem.

Obok mnie pojawia się Rafe. Gabe dołącza do nas chwilę później. Żałobnicy spieszą do sznura oczekujących samochodów, osłaniając się przed deszczem parasolami i modlitewnikami.

Błyskawica przecina horyzont.

Bóg stara się mnie ukarać.

– Jest jak w tej scenie z *Króla Lwa* – mamrocze Rafe, wciskając usta za kołnierzyk koszuli i chowając dłonie do kieszeni. – Czegokolwiek dotknie światło, staje się twoim królestwem, czy coś w tym stylu. Teraz to wszystko należy do ciebie, bracie.

Spoglądam w dół na swoje rzekome imperium. Skrzypiący port po lewej i małe, wtulone w klif miasteczko po prawej. Potem rzucam spojrzenie na dalszą część wybrzeża, na ciemność Devil's Hollow i Devil's Cove, które mimo mgły i deszczu, jest rozświetlone niczym pieprzona choinka.

– Nie chcę tego.

Słowa same wymykają mi się z ust.

Rafe klepie mnie mocno po plecach, jakbyśmy nie stali na krawędzi klifu w ten wyjątkowo wietrzny poranek.

– Wysoko zawieszona poprzeczka, bracie. Lecz jeśli ktoś ma sprostać tej robocie, to tylko Bezwzględny Visconti.

– Za dwadzieścia minut mam samolot do Londynu i nie zamierzam tu wracać.

Ogłuszającą ciszę przeszywa wiatr. W końcu napotykam twarde spojrzenie brata i zaciskam szczękę. Unosi brew, a jego

oczy poszukują śladu rozbawienia w mojej twarzy. Lecz w przeciwieństwie do niego, ja nie żartuję.

Gabe, jak zwykle, pozostaje milczący.

– Nie wracasz do Devil's Dip?

Nie wracam do tego życia.

Nie tłumaczę się. Zamiast tego kiwam głową w kierunku czekającego na poboczu drogi samotnego samochodu. Kierowca Rafe'a otwiera okno i wpatruje się w nas ze zniecierpliwieniem. Pod drzewem stoi zaparkowany Harley Gabe'a.

– Jedźcie na stypę. Innym razem nadrobimy zaległości.

W skroni Rafe'a zaczyna pulsować żyła, a jego spojrzenie płonie od pytań, których nie odważa się zadać. Odwracam wzrok w kierunku morza, a potem wsuwam różaniec do kieszeni i przeciągam dłonią po mokrej brodzie. Chwilę później chrzęst rozmiękłego żwiru sygnalizuje mi, że bracia odchodzą. Dopiero, gdy ryk motocykla Gabe'a znika z zasięgu mojego słuchu, odwracam się w kierunku grobu rodziców.

Jeden z grabarzy przestaje usypywać ziemię na wieko trumny mojej matki, opiera się o rączkę łopaty i wpatruje we mnie czujnym wzrokiem.

Podchodzę do niego i uderzam go plikiem banknotów w zaślona pierś.

– Wykop ją – warczę. – To nie miejsce dla mojej mamy.